

Jabłonowski, Aleksander

Stosunki rodzinne na Wołyniu na przełomie XVI-go i XVII-go wieku

Przegląd Historyczny 13/3, 347-361

1911

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

Stosunki rodzinne na Wołyniu

na przełomie XVI-go i XVII-go wieku.

(Dokończenie).

Takie były różnorodne przyczyny, przyznawane w owe czasy za powód prawowity rozwodów. W istocie rzeczy, wyczerpywały one wszystko, co mogło służyć za przeszkodę do urzeczywistnienia fizycznych a osobiwie moralnych zadań małżeństwa. Sam obrząd rozwodu polegał na tem jedynie, że małżonkowie, w obecności świadków, wydawali sobie wzajem listy rozwodowe a potem oświadczali to osobiście, przed urzędem, pod którego jurysdykcją znajdowali się; kto zaś chciał, przedstawiał je nadto urzędowi duchownemu, parochialnemu czy eparchialnemu. Taki porządek wszakże sprzeciwiał się zarówno prawom cerkiewnym, jako też i obowiązującemu w te czasy państwowemu ustawodawstwu, mocą którego rozwiązanie małżeństw było poddane wyłącznie kompetencji sądu duchownego; mimo to urzędy grodzkie, starościńskie i inne, jakieśmy to widzieli, przyjmowały, nie wahaając się, podania o rozwody i najswobodniej wnosili do ksiąg aktowych listy rozwodowe, jak i wszelkie inne akty prawnie sporządzone — co było dowodem, że porządek ten zdobył oddawna uznanie powszechne i nikomu nie zdawał się być bezprawiem. Istotnie też, staroruskie prawo zwyczajowe dopuszczało podobnie bardzo szeroką swobodę rozwodów i praktykowało też samą formę ich dokonania—t. j. umowę piśmienną między małżonkami, przedstawioną sądowi świeckiemu czy duchownemu („Obzor ist. russk. prawa“ Wład. Budanowa). Oto dlaczego i duchowieństwo ruskie postępowało tolerancyjnie względem rozwodów, jak i w ogóle słabo walczyło z tem, że stosunki małżeńskie regulowane były nie tyle przepisami kanonicznymi ile obyczajami i podaniami, odziedziczonymi po wiekach poprzednich. O wiejskim klerze niema co i mówić: nie stanowiąc

w tym czasie osobnej, zamkniętej korporacji i żyjąc życiem powszednim jedynie ze swą owczarnią, duchowieństwo parafialne w stosunku swym do spraw małżeńskich poddawało się całkowicie zapatrywaniom prawa zwyczajowego i zgoła nie myślało występować przeciwko nim w imię wymagań kanonicznych, o które i samo mało się troszczyło. W jednym też z powyżej wskazywanych przykładów rozwodowych spotkaliśmy parochów w roli świadków rozwodu, zupełnie podług trybu zwyczajowego. Co się tyczy wyższych przedstawicieli błahoczystywej na Wołyniu cerkwi, to oni też wstępowali na urzędy episkopów i władycze, ze świeckiego środowiska bezpośrednio i na nowem swem dostojęństwie zachowywali wszystkie pojęcia i przyzwyczajenia, właściwe społeczeństwu ówczesnemu. Sami oni na każdym kroku mocno nadwerężali zasadnicze wymagania prawa ccerkiewnego i dyscypliny, a nie ich też było rzeczą troszczyć się o ściśle wypełnianie przepisów kanonicznych przez ich duchowne owieczki. Oto dlaczego, do końca XVI-go w., nie widzimy z ich strony bodaj najmniej energicznego protestu przeciw zwyczajom ludu w sprawie rozwodów. Ledwie słabe słowo potępienia tych zwyczajów daje się słyszeć w nakazie metropolity Sylwestra nowowyświęconemu duchownemu (1562 r.) „a na wesele nie chodź, gdzie mąż żonę puści, albo żona męża bez winy, a gdiendziej się pojmają“. Zdarzało się, że sami królowie, gorsząc się łatwością rozwodów, zupełnie niedopuszczalną podług prawideł kościoła katolickiego, przedstawiali błahoczystywemu metropolicie i władynom, że wśród ich owczarni „częste i niesłuszne rozwody w stadle małżeńskiem dzieją się, co jest przeciw Bogu i przykazaniu Jego świętemu“. W odpowiedź na to szły ze strony błahoczystywych hierarchów skargi, że są bezsilni, by wykorzeniec to zło, ile że starostowie i dzierżawcy w dobrach królewskich oraz sami dziedzice i ich urzędnicy w majątnościach prywatnych „w sprawy duchowne wstępują się, mężów z żonami rozpuszczają i rozpusty (opłaty) biorą, a do prawa i do kaźni duchownej ich nie wydają“. Istotnie, rozwody w tym czasie obciążane były opłatą pieniężną na rzecz osób lub instytucji, przyjmujących podania o rozwody i stanowiły dla nich ważną rubrykę dochodu. W lustracjach starostw królewskich opłaty te, pod mianem „rozpustów“ i „rozwodów“ figurują (jakeśmy to widzieli) otwarcie w regestrach zwykłych starościńskich dochodów; toż samo bez wątpienia było i w dobrach prywatnych; ztąd, przesładując rozwody zwyczajowe, duchowieństwo przez to samo dotykało materyalnych interesów starostów i dziedziców. Zaspakajając prośby metropolitów, królowie niejednokrotnie wydawali odezwy

do książąt, wojewodów, starostów, dzierżawców, urzędników ziemskich i całej szlachty duchownego i świeckiego stanu, niemniej do wójtów, burmistrzów i innych urzędników magistratu i ratuszowych z surowym nakazem, żeby „w dochody cerkiewne i we wszelkie sprawy i sądy duchowne nie wstępowali się i rozpustów mężów z żonami nie czynili, gdyż to nie świeckiemu, ale duchownemu sądowi należy“. Takież nakazy starostom swym i urzędnikom wydawali czasem, na prośby duchowieństwa, i niektórzy możnowładcy błahoczesywi, w rodzaju ks. Konstantyna Ostrogskiego. Lecz wszystkie zakazy zostały oczywiście bez skutku, ile że dotyczyły materialnych interesów potężnej szlachty, przeważnie już (na Wołyniu, na przełomie w. XVI-go z XVII-m) różnowierczej (dysydenckiej, aryańskiej głównie—bo jeszcze nie katolickiej) i ztąd wielce obojętnej na dobro cerkwi błahoczesywej. Ale i sami władcy, dążąc do poddania spraw o rozwodach wyłącznej swej jurysdykcji, kto wie czy nie więcej starali się o pomnożenie swych dochodów, niż o surowe wykonanie przepisów cerkiewnych, bo też ich pozwy i dekrety w takich sprawach zapewniały opłaty i „winy“, (kary pieniężne) na ich dobro; sami zaś oni w swych decyzjach, spraw rozwodowych dotyczących, nie zawsze kierowali się prawidłami kanonicznymi, lecz częstokroć temiż zwyczajami miejscowemi.

Tak oto znany jest przykład zezwolenia władzy eparchialnej na rozwód ks. Andrzeja Kurbskiego z jego żoną Maryą Jurjewną Holszańską 1578 r., za którego jedyny powód służyły ich domowe niesnaski — przyczyna, jak wiadomo, nie dająca podług praw cerkiewnych żadnej podstawy do rozwodu, co jednak nie przeszkodziło Kurbskiemu, po upływie roku, wstąpić w powtórny związek małżeński za życia rozwiedzionej żony. A jeszcze wcześniej, w 1570 r., metropolita kijowski Jona dał rozwód łuckiemu sędziemu ziemskiemu, Hawryle Bokijowi, również z przyczyny niezgodnego pożycia jego z żoną.

Lecz mamy też przykład, w którym najwybitniej wyraził się stosunek ówczesnej władzy duchownej do zwyczajowych rozwodów, który to przykład zasługuje na szczegółowe przedstawienie, ile że nadto rysuje on żywo domowe niepowodzenia jednego z wybitniejszych ludzi tego wieku na Wołyniu — kasztelana braclawskiego, Wasyla Piotrowicza Zahorowskiego. Zasługuje tembardziej, że podaje nam zarazem w najwyższym stopniu plastycznie, obraz kulturalnego i moralnego stanu ówczesnego społeczeństwa wołyńskiego. Zatem i my tutaj, biorąc za przewodnika O. Lewickiego, zawiły przebieg spraw odnośnych w całej pełni podamy.

Oto w testamencie swym, pisanym w Krymie, w niewoli tatarskiej, nakazywał Zahorowski synom swoim, aby ci przy wyborze sobie żon, „nie kwapili się na krasę ludzką ani na majątność i sławę onego domu, wielmożnego i ozdobionego, i nie patrzyli po żonach wielkich posagów“, lecz on sam nie trzymał się tego mądrego prawidła, za co też przypłacił zupełnem zniweczeniem szczęścia swego familijnego. Pochodząc z niezamożnego ziemiańskiego rodu, lecz szybko wznosząc się na służbie królewskiej, umyślił wzmocnić swoje położenie społeczne przez spokrewnienie się z możnym i znacznym domem książąt Zbarazkich, co nie odstąpili byli jeszcze wtedy błahoczystya, ale już mocno byli dotknięci wpływami kultury polskiej.

W lutym 1566 r. wstąpił on w stan małżeński z ks. Maruszą (Maryną), córką starosty krzemienieckiego Mikołaja Andrzejewicza Zbarazkiego, i w umowie przedślubnej wymówił, ażeby oprócz posagu, wydzielone jej były dobra macierzyste. Początkowo młode małżeństwo żyło w miłości i zgodzie i podług obyczaju wieku obdarowywało się wzajem: ks. Marusza zapisała mężowi trzecią część swych dóbr darowizną, dwie trzecie zaś w zastaw za mniemany dług; lecz wprędce pomiędzy nimi powstały na gruncie rachunków majątkowych właśnie nieporozumienia, skutkiem czego wdała się w nie rodzina Maruszy. W czerwcu 1567 r. ks. Zbarazki protestował formalnie, że Zahorowski „niemając według przykazania Bożego i przysięgi swojej dobrego w małżeństwie świętem mieszkania“ z jego córką, wniósł do ksiąg aktowych jakieś „poniewolnie uczynione“ przez nią zapisy darowizny. Wtedy też ks. Zbarazka, macocha Marusi, chciała była odwiedzić ją w nieobecności męża, lecz urzędnik Zahorowskiego nie puścił jej do dworu i nie pozwolił widzieć się z pasierbicą. Po upływie kilku dni sam ks. Zbarazki z oddziałem sług uzbrojonych przyjechał do córki i wywiózł ją do siebie. Zahorowski natychmiast wniósł na niego skargę, w której przedstawił sprawę tak, że był to najazd zbrojny ze strony ks. Zbarazkiego, któremu towarzyszył rozgrom dworu i domu i grabież majątku. Podług tłumaczenia się ks. Mikołaja, nie był on nawet wcale we dworze swego zięcia, zatrzymał się we wsi i dał znać córce, iż się chce z nią widzieć; Marusza natychmiast przybiegła „i zamiast witania, zarazem padłszy przed Imcią, łzawie prosiła, aby ją z tak wielkiej a ciężkiej niewoli, jaką od czasu niemałego od swego małżonka, jako jedna niewolnica używa i cierpi, wyzwolić i ją z sobą wziąć raczył“ co też on uczynił. Po przybyciu z ojcem do Włodzimierza, ks. Marusza skarżyła się też i przed urzędem grodzkim, jakoby ona od męża swego „wię-

zienia, boje i zranienia przyjmowała i cierpiała, którego zranienia i teraz znaki u siebie na głowie ma; a to wszystko nie dla czego inszego jej czynił, jedno przymuszając, aby mu imienia macierzyste pomimowolnie zapisała, na co ona, krom woli i wiadomości Imci ks. ojca i sama z umysłu swego zezwolić i tego uczynić nie chciała, dodając: „i gdzieby się takowe zapisy napotem pokazały, tedy o nich, jako o takich, na które nigdy nie zezwalała, nic wiedzieć nie chce, bo też po wsze te czasy, jak za p. Wasyla Zab., w małżeństwo od ojca wydana, pieczęci swego herbu księcia ojca swego u siebie nie miała“. W taki sposób jednocześnie rozpoczęte zostały w sądzie dwie sprawy: Zahorowski obwiniał teścia o najazd zbrojny na jego dwór, wywiezienie żony i grabież majątności, ks. zaś Marusza oskarżała męża o fałszerskie sporządzenie z jej jakoby strony zapisów darowiznowych. Pierwej jednak nim pójść drogą sądową, zgodziły się strony oddać sprawę pod rozstrzygnięcie sędziów polubownych, którym, po wielokrotnych próbach, udało się nareszcie pojednać je na następujących warunkach: Zahorowski zobowiązał się przerwać rozpoczętą przezeń w sądzie grodzkim sprawę z teściem o najazd i grabież, oraz zwrócić dobra żony; ks. Zbarazki zaś obiecał odesłać mu swoją córkę. Zahorowski spełnił swoje zobowiązanie co do przerwania sądowego procesu, lecz dobra żony tymczasem zatrzymywał, a ks. Zbarazki nie wrócił mu córki. Wtedy (w sierpniu 1568 r.) Zahorowski pozwał Maruszę na sąd duchowny, przed władykę włodzimierskiego, Teodozego Łazowskiego, obwiniając ją oczywiście o opuszczenie go samowolnie, a Marusza, przy pomocy swego brata, ks. Janusza Zbarazkiego, siłą odebrała odeń swoje dobra.

Tymczasem Marusza przepuściła termin stawienia się przed sądem duchownym i rozeszła się wieść, jakoby władyka zaocznie rozwiódł ją z Zahorowskim. Kiedy ks. Zbarazki posłał zapytać władykę, czy to prawda, ten odpowiedział, że „za niestaniem i nieposłuszeństwem“ Maruszy, on „uczynił wolnym p. Zahorowskiego od niej“. Było to powiedziane w obecności woźnego, który tak zeznał o tem urzędowi grodzkiemu dla wniesienia do ksiąg aktowych. Ks. Zbarazki uznał jednak, że dla jego córki będzie przyzwyczajniej rozwieść się z mężem za dobrowolną zgodą, niż być rozwięzioną skutkiem wyroku sądu duchownego, i dlatego począł skłaniać zięcia do polubownego zaspokojenia powstałych między nimi nieporozumień, oraz do rozwodu. Zahorowski nie był temu przeciwny. Znowu tedy zostali zaproszeni „jednacze“, którzy, po długich układach, sporządzili i napisali „list ugody“, czyli „zastanowienie przyjacielskie“, przyjęte przez strony. Mocą jego oboje

małżonkowie uczynili wyzwolenie wzajemne „ze szluby i zakonu małżeńskiego”; przytem „pozwoił p. Wasyli księżnie Maruszy za innego męża pójść, a kn. Marusza p. Wasylemu Zahorowskiemu pozwoiła dobrowolnie inną żonę pojąć, kogo chcąc“. Umowa została ubezpieczona zwyczajnemi „zarękami, aby się to wiecznemi czasy nie wspominało przed żadnem prawem, tak duchownem, jako i świeckiem“, oraz stwierdzona pieczęciami świadków „i sama Jejmć księżna Marusza, pieczęć swą do onego listu postanowienia przyjacielskiego przyłożywszy, ręką swą własną po polsku podpisać raczyła“. Tamże omówiono, że rozwodzący się małżonkowie zobowiązywali się umowę obecną (lub osobne listy rozwodowe) „do prawa duchownego dać albo zeznać“; lecz dla czegoś punkt ten nie został wykonany. Skończywszy z rozwodem, Zahorowski zwrócił Maruszy jej darowizny i zastawne zapisy na dobra, ona zaś formalnie przed urzędem grodzkim odrzekła się od obwinień jego o to, że jakoby przemocą wymuszał od niej zapisy te i sporządził je bez jej zgody.

Tak zakończył się pierwszy akt rodzinnego dramatu Zahorowskiego. Przeżył on w małżeństwie z ks. Zbarazką półtrzecia roku zaledwie. Wyjechała zaś ona od niego brzemienną i już w domu ojcowskim urodziła córkę, lecz dziecko to, podług woli matki, nie widziało nigdy swego ojca.

Zahorowski nie długo przecie pozostawał wdowcem. We dwa lata potem poślubił on już ks. Katarzynę Iwanównę Czartoryską i w umowie przedślubnej nastawał na to, aby jej posag nie był mniejszy od tego, jaki otrzymała jej starsza siostra, Olena, wychodząc za syna wwdy nowogrodzkiego, Ostafiego Hornostaja. Wesele Zahorowskiego odbyło się w styczniu 1571 r. Ślub dawał ihumen monasteru peresopnickiego, którego posiadaczami i dobrodziejami oddawna byli Ks. Czartoryscy i Cyryl Laskowski; on to z czasem świadczył w sądzie grodzkim, że przed daniem ślubu widział oryginalny akt „ugody“ o rozwód Zahorowskiego z pierwszą żoną i, oprócz tego, czytał jeszcze jakiś „list“ władzyki włodzińskiego, Teodozego Łazowskiego, z którego „zrozumiał, iż nie tak Wasyli Zahorowski przyczynę do rozerwania małżeństwa dał, ale Jejmć księżna Marusza Zbarazka sama przyczyną rozerwania małżeństwa była“, dlaczego też on, ihumen, ze spokojnem sumieniem przystąpił był do dania ślubu. Oczywiście, księżna Czartoryska, wydając córkę za człowieka rozwiedzionego, potrzebowała przekonać się, czy prawidłowo przeprowadzony został jego rozwód, i w tym celu starała się zasięgnąć wiadomości i u miejscowego archijereja.

Ród książąt Czartoryskich był bogatszym i znakomitszym od rodu pierwszej żony Zahorowskiego. Sami oni uważali się za Gedyminowiczów i jeszcze w połowie w. XV-go otrzymali od kr. Władysława III-go osobny przywilej, w którym przyznawał on pokrewieństwo ich z Jagiellonami i na tej zasadzie dał im prawo używania litewskiego wielkoksiążęcego herbu Pogoni. Ponadto Ks. Czartoryscy oddawna odznaczyli się gorliwością względem cerkwi błahoczeskiej i ofiarnością dla monasterów, jakich znajdowało się kilka w ich dobrach. Spokrewnienie się z takim domem zdawało się zapewniać zaspokojenie wszelkich pożądań ambitnego i pobożnego zarazem Zahorowskiego. Istotnie też, po upływie roku po jego drugim ożenieniu się, otrzymał on rzadką temi czasy dla nietytułowanego Rusina promocję urzędową! ofiarowano mu kasztelaństwo braclawskie a zarazem krzesło w senacie. Lecz szczęście rodzinne nie uśmiechnęło mu się i poraz drugi. Zaczęły się nieporozumienia z teściową z powodu rachunków majątkowych i w r. 1574 Zahorowski skarżył się wszędzie, że ks. Hanna Czartoryska odebrała zapisane mu przez nią samą dobra; ta zaś wpierała, iż Zahorowski, zarządzając temi dobrami w charakterze opiekuna, niepełnoletniego jej syna, zniszczył je. Takie nieporozumienia nie mogły nie odbić się ujemnie i na stosunkach wzajemnych Zahorowskiego z żoną; jeśli tylko i pierwiej stosunki te nie były już do cna zepsute. Księżna Katarzyna też, niewątpliwie, nie lubiła męża, czuła się udręczoną życiem z nim, i tylko wyczekiwała dogodnej okoliczności, by go porzucić. W czerwcu tedy 1576 r., pod pozorem odwiedzenia chorej matki, pojechała do niej i nie chciała już więcej wracać do męża i małoletnich dzieci. Napróżno Zahorowski posyłał swoich przyjaciół, „zacnych ludzi“, nakłaniać ją, aby „przysiędze swej dosyć czyniła i do małżonka i dzieci swoich w dom jechała“; napróżno wręczał jej i jej matce przez woźnego „napominalne listy“ od sądu ziemskiego z tem że wymaganiem. Stara księżna odpowiadała na to: „ja jej do małżonka i do dzieci jechać nie bronię, ale mi jej, jako dziecka swego, z domu wyganiać nie godzi się“; sama zaś księżna bez ogródek odparła: „widząc grzesznem swoje mieszkanie w małżeństwie z kasztelanem, do Imci jechać i z Imcią żyć nie chcę, aźby Imć szlubił i dobrze mię upewnił żadnej sprawy małżeńskiej do żywota swojego ze mną nie mieć“.

Po tem Zahorowskiemu pozostało już tylko starać się o rozwód; lecz pierwiej, nim zdążył to zrobić, dotknęło go nieoczekiwane nieszczęście: w marcu 1576 r., wystąpiwszy z pospolitem ruszeniem ziemi Wołyńskiej dla odparcia najazdu tatarskiego, do-

znał klęski, został raniony i dostał się do niewoli tatarskiej. Męcząc się w niewoli, napróżno przesyłał on wzruszające odezwy do swych przyjaciół, błagając o pożyczkę pieniężną dla okupu; ani przyjaciele, ani bogaci krewni nie pomogli mu wykupić się z niewoli. Cierpiąc od ran i niespodziewając się już „złożyć swoich kości obok grobów rodziców“, Zahorowski przysłał z Krymu testament, pełen gorzkich wyrzutów i użalań się na „nieżyczliwość i niestateczność“ żony, co rzuciła dzieci w takim wieku, kiedy one „potrzebują mieć przy nich serdecznego przyjaciela, który by je nie tylko pokarmem cielesnym wykarmił, ale i do dobrych obyczajów ustawicznie przyuczał, ona zaś, wzgardziwszy tym świętym obowiązkiem „i dom mój sobie obrzydziwszy, a włóczęgowski żywot ulubiony, tam, gdzie się jej podobało, mieszka i przejażdżek używa“; dlatego Zahorowski zupełnie usunął żonę od opieki nad dziećmi i nawet pozbawił ją prawa powrócenia do nich do ich pełnoletności, wychowanie zaś dzieci i pełne rozrządzenie jego dobrami porучzył ciotce swej, Zofii Zahorowskiej. Nie zapomniał on w testamencie i o córce swej z pierwszego małżeństwa, Hannie, „choć jej (skarży się) przez nieżyczliwość matki jej nigdy oczyma moimi nie widziałem“; jej on zapisał na posag tysiąc kóp groszy i część ruchomości.

Wasyli Zahorowski umarł w Krymie 29 lutego 1580 r. Ledwie wieść o jego śmierci doszła do Wołynia, posłużyła tu za hasło do wywołania niesłychanego procesu sądowego. Też same żony Zahorowskiego, ks. Marusza Zbarazka i ks. Katarzyna Czartoryska, które tak mało ceniły go za życia, wystąpiły teraz jako namiętne współzawodniczki w walce o honor noszenia jego nazwiska. Inicytywa w tym nieprzyzwoitym procesie należała do ks. Zbarazkiej, a rozpoczęła go ona z pobudek wyzysku. Dla niej było mało tego, co Zahorowski zapisał jako posag córce swej Hannie; zapragnęła ona by córka ta była przyznana za jedyną spadkobierczynię całego majątku ojcowskiego. Korzystając z tej okoliczności, iż rozwód jej z Zahorowskim został dokonany trybem domowym, przy udziale sędziów polubownych tylko, i nawet bez przedstawienia aktu rozwodowego w jakimkolwiek urzędzie, ks. Zbarazka podjęła w sądzie duchownym sprawę o nieważność drugiego małżeństwa Zahorowskiego, a więc i o nieprawość urodzenia powstałego z tego małżeństwa potomstwa. Obwinienie ks. Katarzyny Czartoryskiej zostało sformułowane w ten sposób, że ta, „przypisawszy sobie tytuł, jakoby małżonką p. Wasyla Zahorowskiego, kasztelana braclawskiego, być miała, czem ona, mimo niej, żywej żony, być nie może, dobra i majątność całą niebo-

szczyka małżonka Jejmości (ks. Zbarazkiej) zabrała i przy sobie ma“.

Raz pierwszy sprawa ta rozważana była przez władykę włodzimierskiego Teodozego Łazowskiego, w lutym 1583 r., lecz nie została ukończona i skutkiem apelacji ks. Czartoryskiej przeniesiona przed sąd metropolity. Lecz ówczesny metropolita Onisyfor Dziewoczek, rozejrzawszy sprawę tę w obecności stron, uznał, że nie jest mu ona podsądna, i na mocy prawideł apostolskich i postanowień soboru, podlega jedynie sądowi eparchialnego archijereja, t. j. tegoż Teodozego Łazowskiego. Wtedy król nakazał ep. Teodozemu rozpatrzyć powtórnie i rozstrzygnąć tę sprawę ze swą kapitułą, przydając mu za asystenta władykę chełmskiego, Leoncyusza Zenowicza Połczyckiego. Dni kilka (od 1 do 7 listop. 1583 r.) ciągnęło się rozpatrywanie tej niezwyklej sprawy przy udziale najlepszych obrońców wołyńskich, umocowanych przez jedną i drugą stronę.

Położenie dwóch współzawodniczek wobec sądu było wielce nierówne. Ks. Zbarazka wystąpiła uzbrojona pełnią praw duchownych i świeckich. Przedstawiła ona całą wiązanekę piśmiennych poświadczeń metropolity, władków łuckiego i pińskiego, a nawet od samego patriarchy konstantynopolskiego, na udowodnienie tego, że żaden z pomiędzy nich nie dawał prawnego rozwodu z Zahorowskim. Niedosć na tem, postarała się ona o osobny list od patriarchy, w którym ten ostatni ostro potępiał praktykujące się na Rusi rozwody, nazywał cudzołozstwem małżeństwa powtórne, oparte na podobnych rozwodach i poddawał klątwie duchownych, ośmielających się błogosławić takie małżeństwa. Tymczasem ks. Czartoryska przedstawiła na swą obronę kilka dokumentów, których moc dowodowa z łatwością była pokonywana przez obrońców strony przeciwnej. Naprzód tedy przedstawiła wypis aktowy doniesienia woźnego, obecnego przy tem, jak w sierpniu 1568 r. władyka Teodozy kazał jakoby oświadczyć ks. Zbarazkiemu, że za niestawienie się przed nim na sąd, z pozwu męża ks. Maruszy, „uczynił wolnym“ p. Zahorowskiego od małżeństwa z nią, lecz prezes sądu odrzucił ów dokument, jako „niesłuszny i nieprawny“, a strona przeciwna przedstawiła wypis aktowy doniesienia drugiego woźnego o tem, że w kwietniu 1581 r. tenże ep. Teodozy oświadczył ks. Januszowi Zbarazkiemu, bratu ks. Maruszy, że „żadnego rozwodu jej z Zahorowskim nie czynił“, ani błogosławieństwa temu ostatniemu na powtórne małżeństwo nie dawał. Przedstawiła też ks. Czartoryska wypisy różnych dokumentów, w których ks. Zbarazka, po rozwodzie z Zahorowskim, zawsze podpisywała się jednym

rodowem nazwiskiem, nie mianując się żoną Zahorowskiego; powoływała się jeszcze i na to, że w ciągu 5-letniego jej zamężcia, do samej śmierci Zahorowskiego, pozywająca nie zaprzeczała prawowitości jego drugiego małżeństwa. Większe względnie wrażenie na sędziów wywarł przedstawiony przez pozwaną oryginalny akt „ugodowy“ albo „postanowienia przyjacielskiego“ co do rozvodu Zahorowskiego, podpisany przez samą ks. Zbarazką i stwierdzony jej pieczęcią, gdzie, pomiędzy innymi zaznaczone zostało, że „księżna Marusza jejmć panu Wasylowi Zahorowskiemu pozwoliła dobrowolnie inną żonę pojąć, kogo chcąc“.

Umocowani pozywającej usiłowali ze szczególniejszą energią osłabić siłę i znaczenie tego dokumentu. Krytykowali go też i ze strony formy i co do istoty samej. Stając całkowicie na punkcie zapatrywania się kanonicznego, nastawali oni, że sąd duchowny nie jest w prawie nawet rozważać podobnych dokumentów. „Rozwód w małżeństwie“, dowodzili oni, „bez przyczyny, w piśmie świętem opisanej, stać się nie mógł, a jeśliby za przyczyną, w piśmie opisaną, stał się, to nigdzie indziej, tylko przed sądem duchownym“, jak uczy i Statut; dlatego „jeśli by kto takowe listy (rozwodowe) za słuszne rozumieć chciał, tedy by to było po żydowsku, czego chrześcijaństwo broni. Tedy i ty, ojczye władko, jako pasterz, tego strzedz i tego zabraniać powinienes, aby się żadne jawnochrześcijaństwo w chrześcijaństwie nie działo“. A chociażby był dokonany rozwód Zahorowskiego, czego strona pozywająca nie dopuszcza, to i w takim razie ów „drugiej żony, mimo tej, żywej żony, aż do śmierci swojej pojmować nie mógł, według pisma i słów Chrystusa u św. Mateusza, ust. 10 i do Koryntyan w liście Pawła świętego, ust. 7“. Zgodnie z tą „nauką pisma Bożego“ władka też obowiązany wydać swój wyrok.

Lecz władka Teodozy był synem swego wieku i człowiekiem swego społeczeństwa, i dlatego rozumiał należycie, że ściśle zastosowanie miarki kanonicznej przy ocenie danego wypadku było by największą niesprawiedliwością. Nie zdobył się on też na stanowczość, by pozbawić pozwaną przyznanych jej przez ogół praw dla dogodzenia pozywającej, która dobrowolnie zrzekła się małżeństwa z Zahorowskim i formalnie dała mu „pozwolenie ożenić się z inszą żoną“; a dlatego, wezwawszy Boga na świadectwo tego, że sądzi podług sumienia, wydał wyrok, mocą którego ks. Katarzyna Czartoryska została uznana za prawowitą żonę Zahorowskiego, a jej syn małoletni (starszy Wasyl, młodszy Maksym już wtedy nie żył) za prawego jego potomka.

Z wyrokiem tym zgadzało się też i zasiadające na sądzie wła-

dyczym duchowieństwo, za wyjątkiem władzyki chełmskiego Leoncyusza, który pozostał przy osobnem zdaniu. Ks. Zbarazka wyraziła niezadowolenie z tego wyroku i odwołała się do sądu królewskiego, lecz król nie wziął na siebie rozstrzygnięcia tej sprawy, i oddał ją na sąd osobnej komisji, składającej się z lwowskiego arcybiskupa katolickiego i błahoczesywych władyków chełmskiego i lwowskiego. Zapewne i ta komisja nie wydała ostatecznej decyzji, ponieważ w 1588 r. jeszcze ks. Zbarazka pozywała władykę Teodozego Łazowskiego na sąd metropolity, obwiniając go o nieprawidłowe rozstrzygnięcie sprawy jej z ks. Czartoryską.

Końca tego interesującego procesu nie da się już zbadać podług aktów. Jedno tylko jest wiadome, że jak ks. Marusza Zbarazka, tak i ks. Katarzyna Czartoryska, każda z nich do śmierci swej mianowała się „panią Wasylową Zahorowską, kasztelanową braclawską“, przy czym ks. Czartoryska władała s. Suchodołami, rodzimym majątkiem Zahorowskiego, a cerkiew Ilińska w m. Włodzimierzu, z jej gruntami i poddanymi, należąca pierwaj do Wasyla Piotrowicza Zahorowskiego w r. 1596 i w latach następnych, okazuje się być we władaniu ks. Maruszy Zbarazkiej, z czego można wywnioskować, że obiedwie współzawodniczki, koniec końców, zgodnie podzieliły między sobą spadek po ich byłym mężu. Tak oto zakończył się ten interesujący wypadek starcia się pierwiastku kanonicznego z życiowym.

Znamy też i drugi podobny przykład, chociaż nietyle wyrazisty jak poprzedni, lecz ciekawy pod innym względem, jako świadectwo tego, że w owe czasy próba ścisłego zastosowania kanonicznych wymagań do spraw rozwodowych zmuszała małżonków do robienia sobie wzajem haniebnych zarzutów i uciekania się świadomie do usług świadków fałszywych. Przykład ten przedstawia ostatnia sprawa rozwodowa ks. Andrzeja Kurbskiego. Wyżej już wspomnieliśmy o rozwodzie ks. Kurbskiego z jego pierwszą żoną, ks. Maryą Holszańską. (Oczywiście „pierwszą“ na Wołyniu, pierwszą po tej, którą był zostawił na Moskwie, a która wprędce skończyła życie, z synkiem, na dalekim wygnaniu). Chociaż przy tym rozwodzie nie wymówił on sobie prawa do powtórnego małżeństwa, lecz, naśladowując miejscowe obyczaje, bez wahania, w rok potem ożenił się z Aleksandrą Siemaszkówną, z którą przeżył spokojnie trzy lata, miał z nią dzieci i wyruszając na wyprawę wojenną, zostawił w 1581 r. testament, w którym zapisał jej z dziećmi wszystkie swoje dobra. Wtem ks. Holszańska, z którą i po rozwodzie zostawał dalej we wrogim stosunku, wytacza mu sprawę o nieprawne rozerwanie małżeństwa z nią i pozywa go na sąd metro-

polity. Ks. Kurbski został postawiony przez to w trudnym nadzwyczaj położeniu: wyrok sądu duchownego mógł mieć dla niego, a szczególnie dla jego nowej rodziny, bardzo niebezpieczne następstwa. Widząc przed sobą grozę nie do uniknienia i pragnąc dla swej obrony przedstawić przyczynę, która by i podług praw cerkiewnych usprawiedliwiała rozwód jego z pierwszą żoną, uciekł się Kurbski do tegoż środka, jaki nie bez skutku praktykuje się czasem i obecnie: wpisał on w księgach aktowych włodzimierskiego sądu grodzkiego doniesienie, jakoby ks. Holszańska, będąc jego żoną jeszcze, zdradziła go, i przytem przedstawił w sądzie dwóch świadków, którzy bez ogródek zeznali, że niby własnemi oczyma widzieli, jak ta ostatnia oddawała się rozpucie ze sługą swym, Zdanem Merenowiczem. Sprawa nie doszła jednak do sądowego wyroku, gdyż Kurbskiemu udało się zawrzeć z Holszańską pojednawczą ugode, poczem ani ona sama ani władze duchowne nie występowały już więcej przeciw prawowitości jego drugiego małżeństwa i praw zrodzonych w tem małżeństwie dzieci.

Wypada zaznaczyć jednak, że podobne do dwóch przytoczonych przykładów faktu, kiedy jedna z rozwodzających się stron, stając na gruncie przepisów kanonicznych, starała się zwalczyć prawowitość własnego rozvodu, były w tym czasie bardzo rzadkie. Wywoływane zwykle pobudkami wyzysku lub złośliwej zemsty, zakusy podobne — wątpliwe czy mogły spotykać poparcie moralne albo współczucie w społeczeństwie ówczesnem i, jak to widać w procesie ks. Zbarazkiej, władza duchowna nawet nie okazywała im osobliwego poparcia, ani opieki.

Taż sama moc opinii społecznej powstrzymywała ludzi tego wieku i od nadużywania łatwości rozwodów. Bądźco bądź pewne rękojmie przeciw tego rodzaju nadużyciom zawierały się i w samej formie dokonywania ówczesnych rozwodów, jakie zwykle były poprzedzane przez układy krewnych i przyjaciół jednej i drugiej strony, w obecności i przy uczestnictwie których sporządzane były i zapisy rozwodowe, a co główna — wymagana była przytem dobrowolna i wyraźnie wypowiedziana zgoda koniecznie obojga rozwodzających się małżonków. Istotnie też, w księgach aktowych wołyńskich dokumenta rozwodowe spotykać się dają dosyć rzadko. Widocznie do rozwodów uciekano się nie w uniesieniu tylko, lekomyślnie, lecz z rozwagą, z pełną świadomością całej doniosłości tego aktu i w razach istotnej konieczności jedynie. Tem się tłomaczy też i ów spokojny, przyjazny charakter, jakim nacechowana jest większa część znanych dotąd (wołyńskich) zapisów rozwodowych. W zapisach tych, niejednokrotnie czuć się daje nieudany żal roz-

wodzących się nad utraconą harmonią rodzinną i uznanie zobopólne za ubiegłą miłość i opiekę wzajemną. W jednym z przytoczonych zapisów, żona, uwalniając męża od małżeństwa z nią, żegna go rozczulającą życzliwością: „niech zdrów z drugą się żeni i niech Bóg błogosławi z drugą w lepszym małżeństwie pożyć niż ze mną“. Czasem też bywało i tak, że rozwodząc się, małżonkowie obdarowywali się wzajem—pieniędzmi i w inny sposób.

Wobec znanej zkądinąd surowości obyczajów ówczesnych, dobroczynny wpływ rozwodów na życie rodzinne i moralność społeczną był niewątpliwy. Przedstawiały one naturalne i spokojne wyjście dla ówczesnego rodzaju dowolnych i mimowolnych starć w życiu rodzinnem, jakie bez nich doprowadzały by nieodzownie do strasznych przestępstw. W r. 1573 na Wołyniu zaszło takie oto zdarzenie: Ziemianka Teodora Chołoniewska, córka Romana Hulewicza, źle żyjąca z mężem, uciekła od niego do matki, zabrawszy posag. Mąż, Wasyl Andrejewicz Chołoniewski, posyła „dobrych ludzi“ z wymaganiami jej powrotu. Teściowa Pelagia Matyasówna, 2 v. ż. Iwana Kurozwońskiego, odpowiada posłanym: „ja do niego żony jego nie poszlę, ale radzę mu, iżby jej dał pokój a ją wyzwolił z małżeństwa, a ona jego, bo weźmie sobie nie żonę jedno nieprzyjaciela“. Chołoniewski chciał być sprzeciwić się tej rozumnej radzie: „z żoną mą ślubną bez potrzeby rozwodzić się nie myślę“, lecz perspektywa mienia w domu, zamiast żony, „nieprzyjaciela“, zachwiała jego upór: rozpoczęły się układy przy pośrednictwie „przyjaciół“ i rozwód przecie przyszedł do skutku.

Podobne ustępstwa w tym czasie były nieuniknione, ile że większa część ówczesnych tragedii rodzinnych pochodziła ztąd mianowicie, że jedno z małżeństwa odmawiało uporczywie drugiemu zgodzenia się na rozwód dobrowolny. Mężowie starali się wymusić takie zgodzenie się drogą dzikich gwałtów, żony niejednokrotnie uciekały się do trucizny lub usług najemnych zabójców.

Świadczą o tem ze smutną wymownością następne, pom. inn. sprawy, w aktach sądowych wołyńskich owego czasu zaznaczone. Oto r. 1567, 24 marca skarży się w sądzie zamk. włodzimierskim ziemianka Maryna Iwanowna Meleszkówna (siostrzenica Jerzego wojewody brzeskiego i Kalenika marszałka hosp. Wasylowiczów Ty-szkowiczów) na męża swego Prokopa Wołoszka Zaskowskiego, że ten, „przywiozłszy ją na Wołyń“, trzymał w zamknięciu, morzył głodem i chłodem, często ją bił i we wszelaki sposób znęcał się nad nią, zmuszał do wydania mu zapisu rozwodowego i nakoniec w miesiąc po ślubie kazał odwieźć do matki, zatrzymawszy u sie-

bie cały jej posąg. A podobnych skarg na brutalność mężów znajdzie się dosyć. Więcej przykładów zapamiętałości przedstawiają kobiety, żony — w razach przymusowego pożycia. Tak znane są sprawy o zabójstwo męża: Nastazyi z Oszczowskich—Borysa Ochłopowskiego 1583 r.; Nastazyi z Szabanów — Karpa Puzowskiego — 1601 r.; Heleny z Monwidów Dorohostajskich—Szczęsnego Charlińskiego 1604 r.; — zaś Orszuli z Jakubowskich o otrucie swego męża Aleksandra Łukaszewskiego r. 1631.

Jeśli podobne przestępstwa zdarzały się czasem i przy swobodzie rozwodów, to można z pewnością powiedzieć, że bez takiej swobody, przy ówczesnych prawach i charakterach, wszelkie rodzinne powikłanie prowadziły do krwawego rozwiązania. W tem, być może, zawierała się jedna z przyczyn, dlaczego rozwody na Rusi południowej wogóle, nie przyznawane nigdy przez ustawodawstwo państwa i wyraźnie przeciwne prawu kanonicznemu, w ciągu XVI—XVII, a może i daleko wcześniejszych stuleci, cieszyły się jawnem uznaniem ze strony sądów świeckich i pobłażliwą tolerancją nawet ze strony władzy duchownej, (błahocestywej) Tak się wypowiada O. Lewickij; lecz i M. Hruszewskij nie jest innego zdania: „moralność — powiada on (Ist. Ukr. Rusi t. VI, 319) — nie widać, ażeby cierpiała od tego; dobrowolna rozłąka, przeciwnie, chroniła stosunki małżeńskie od różnych pokus i przykrości...”

Ale nareszcie, mimo wszystko to, wpływ kultury polskiej wogóle, nadewszystko zaś oddziaływania żywe Unii religijnej, skrzępowały swobodę rozwodów — aż do sprowadzenia ich do normy przyznawanej kanonicznie. Co do Unii religijnej — to ta od pierwszych dni swego powstania zajęła jawnie wrogie stanowisko względem zwyczajów ludowych w zakresie praktyk, dotyczących małżeństwa. Poszło to zapewne ztąd, iż latyno-polscy polemiści, krytykując ze swego punktu widzenia zwyczaje cerkwi ruskiej, ze szczególniejszym naciskiem przyganiiali błahocestywym swobodę rozwodów. Skarga uznawał to za jeden z głównych „błędów“ ruskiej cerkwi. Pod wpływem tych zarzutów, w końcu XVI-go w. jeszcze ci z błahocestywych władyków, którzy przychylni byli unii religijnej z Rzymem (a do których należeli właśnie obaj hierarchowie wołyńscy—włodzimierski i łucki), stawali się też w następstwie gorliwymi przeciwnikami zwyczajów rozwodowych i starali się je wykorzeńić. Nie mając możności odebrania urzędowi świeckim prawa potwierdzania takich rozwodów, usiłowali oni odebrać je przynajmniej z rąk parafialnego duchowieństwa, które z dawnych czasów przyswoiło było sobie to prawo, wbrew ka-

nonom. Znany promotor Unii, Hipacy Pocij, będąc jeszcze błahoczystywym władzką włodzimierskim i brzeskim, wydał 1594 r. „soborną hramotę“, w której pod grozą destytucyi i anatemy nakazywał parochom swojej eparchii, żeby nie śmieli nikomu dawać „rozpustów“, lecz odsyłali takie sprawy do jego sądu władczego. A w rok potem, gdy władcy ruscy zjechali się dla rozważenia warunków zamierzonej unii, w liczbie innych punktów, dodali prozbę do króla, „żeby osoby świeckie, w dobrach których, często na ich życzenie, parochowie samowolnie rozwiązują małżeństwa, nie bronili takich parochów, lecz wydawały ich władkom dla kary duchownej“. Szczególną odpornością względem rozwodów odznaczał się (w swej gorliwości wogóle) tenże Hipacy Pocij. Będąc już metropolitą unickim, wydał on 1608 r. polemiczne pismo w obronie unii, pod tyt.: „Harmonia wschodniej cerkwi z kościołem rzymskim“, w którym pomiędzy innem pisze: „Ale mi się owe rozwody biesowskie częste i o lada co, których u nas ni za co nie mają, nie podobają! Podobno zapomnieli, że Chrystus powiedział: co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza“. I wobec tego stawia za przykład praktykę kościoła katolickiego, w którym „o rozwodach rzadko i usłyszysz, i to nie inaczej, jak dla ważnych przyczyn, wskazanych w kościelnych kanonach“. Lecz takich gorliwców unii, jak Pocij, było (na razie na Wołyniu) nie wielu.

Zakorzenione zwyczaje rozwodowe trzymały się i dalej twardo przy życiu i dopiero ku pocz. XVIII-go w., po znanych przewrotach w kraju, duchowienstwo unickie mogło doczekać się tego, że jak zawiązanie tak i rozwiązanie małżeństw odbywać się musiało podług prawideł cerkiewnych — nawet wśród zjednanego dla unii na Wołyniu ludu—gdy większość tam ziemian była już rzymskokatolicką.

ALEKSANDER JABŁONOWSKI.
